

„Smoki i smoczki” – Birma, Tajlandia, Kambodża 13.02-08.04.2007

Anna Olej-Kobus i Krzysztof Kobus
wraz ze Stasiem i Michasiem

Uwagi ogólne

Skład: troje dorosłych (my i Ola, córka Krzysia) i dwoje maluchów. Michaś – 2 latka i Staś - w dniu wyjazdu 5,5 mies. Termin narzuciło nam życie: wyjechaliśmy po sesji Oli, a przed urodzinami Michasia. Generalnie chłopcy (zwłaszcza młdszy!) budzili wszędzie pozytywne uczucia, a w Birmie wielu po raz pierwszy widziało białego niemowlaka.

Przeloty

Waw – Wiedeń, wylot 7.30 pn – 8.55 pm, czas lotu 1.25 h

Wiedeń – Bangkok (BKK), wylot 11.30 pm – 03.45 pm, czas lotu 10.15 h

Bangkok – Wiedeń, wylot 11.55 pm – 05.35 am, czas lotu 10.50 h

Wiedeń – Warszawa, wylot 08.10 am – 09.35 am, czas lotu 1.25 h

Lecimy z Warszawy do Bangkoku Austrian Airlines z przesiadką w Wiedniu. Na lotnisku okazuje się, że bez problemu możemy mieć miejsca przy kołysce i oknie (mimo że miesiąc wcześniej ich nie było). Bilet dorosły z opłatami lotniskowymi (w tym opłata wylotowa z Bangkoku (BKK)) kosztuje 3120 zł, dla dziecka poniżej 2 lat – 950 zł. Jako że lecimy kilka dni przed drugimi urodzinami Michałka w obie strony przysługuje mu taryfa „infant”, z tym, że do BKK leci na naszych kolanach, a z powrotem ma osobne miejsce (bez dopłat!). Stasiowi jako niemowlakowi przysługuje tzw. „sky coat” (zwane też Baby Bassinet), czyli łóżeczko przypinane do ściany, w którym przespał większą część lotu, bo szczęśliwie przelot w obie strony wypada nocą.

Na lotnisku w Wiedniu robimy wszystko by Michaś nie spał, najlepszą zabawką okazuje się wózek do bagażu. W efekcie totalnie zmęczone dziecko jeszcze przed startem zasypia! Zresztą większość startów i lądowań chłopcy przespałi, więc obawy o płacz przy zmianie ciśnienia okazały się bezpodstawne. Nasz bagaż podręczny jest pokaźny: plecak z 3 kompletami zapasowych ubranek dla każdego, pieluchami, piciem i przegryzkami, skrzynia Peli ze sprzętem foto i elektroniką potrzebną nam do pracy oraz torba foto (z tym co się do skrzyni nie zmieściło). Na szczęście wózek dzieci nie jest wliczany do wagi bagażu i można go mieć aż do wejścia do samolotu.

Bangkok – Rangun wylot, 7.15 – 8.00, czas lotu ok. 1 h

Rangun – Bangkok 8.30 – 10.10

(w Birmie czas jest o pół godziny do tyłu w stosunku do Tajlandii)

Z Tajlandii do Birmy lecieliśmy Air Asia (www.airasia.com) – ważna uwaga: ponieważ to tania linia, więc limit bagażu na osobę jest 15 kg, za każdy kilogram powyżej dopłaca się ok. 5 USD! Infant nie ma prawa do bagażu poza wózkiem. Dzięki maluchom wszędzie wpuszczano nas bez kolejki i pracownicy lotniska zwykle sami nas prowadzili od razu do odprawy. W Tajlandii rodziny z dziećmi są odprawiane przy przejściu dla dyplomatów, zaś w Wiedniu przed wejściem do samolotu zaproszono nas do części business w poczekalni!

Jedzenie

Azja to kulinarny raj – także dla dzieci. Na przestrzeni stu metrów można dostać gotowaną lub pieczoną kukurydzę, pierożki, naleśniki z bananami, napoje, szaszłyki i owoce. W knajpkach (poza ryżem) jest marchew, ziemniaki, cebula, kapusta pekińska, kurczaki, ryby - słowem swojsko. Jechaliśmy wyposażeni w wiedzę jak odkażać owoce i warzywa, w praktyce ograniczyliśmy się tylko do obierania ich ze skóry. Nie warto też kupować na zapas bo w tych temperaturach owoce szybko fermentują/pleśnieją, więc najlepiej kupić je do zjedzenia najpóźniej następnego dnia rano. W BKK my i dzieci bez oporu jadaliśmy surowe owoce sprzedawane z lodu (kawałek arbuza, pół ananasa etc. cena 10 B), wychodząc z założenia, że jesteśmy w kraju o wysokim poziomie higieny, a skoro tyłu białych się tak żywi i nic im nie jest, to i my przetrwamy. Natomiast w Birmie i Kambodży gdzie lód przewozi się w trocinach i tnie na ulicy piłą, zdecydowanie go unikaliśmy. Podobnie

unikaliśmy „lodów” w postaci trocinek lodowych robionych na tarce z wielkiej bryły lodu polanych syropem.

Ceny dań obiadowych w restauracjach kosztują od 1 do 5-6 USD, celowaliśmy w te tańsze, a dzieci podjadały nam z talerzy - przebojem był ryż z warzywami, a w przypadku Stasia sam ryż. Wszędzie można też dostać chleb i dżem, więc w razie awarii jest czym karmić malucha. Zabraliśmy ze sobą 3 kaszki mleczno-ryżowe Nestle jako awarię żywieniową na wypadek zatrucia oraz by w nich podawać Malarone (lek przeciwko malarii), ale okazało się, że do tego lepszy jest dżem. Po miesiącu Michaś wyposzczony na azjatyckiej diecie domagał się kaszki trzy razy dziennie, a rozrabiałam ją ze zwykłą butelkowaną wodą (okazało się, że większość turystów w tropikach tak robi), dzięki czemu mogłam mu ją zrobić błyskawicznie w każdych warunkach. Gdy kupowaliśmy jedzenie na ulicy staraliśmy się, by było na naszych oczach przygotowywane, co dawało nadzieję iż nie będzie tam dodatkowego życia w postaci ameb etc. W Birmie w cenę hotelu wliczone jest śniadanie: oznacza to jajecznicę lub jajko w dowolnej postaci + tost z dżemem oraz kawę lub herbatę a czasem jeszcze owoce.

Piliśmy tylko butelkowaną wodę (nie przegotowaną) – także dzieci, bo w tym upale nawet Staś musiał się dopajać (mleko mamy było za gęste). Dorośli do wyboru mieli jeszcze kilka rodzajów piwa (ceny 0,5-3 USD). Michaś po kilku dniach aklimatyzacji zaczął namiętnie pić soki ze świeżych owoców, ukochanym był sok ananasowy.

Ważne: nie należy zostawiać jedzenia w pokoju, bo błyskawicznie wprowadzają się do niego mrówki!

Noclegi

Podróżując z dziećmi trzeba zapamiętać o najtańszych pokojach wielkości łóżka i bez okna. Po prostu maluchy muszą mieć trochę przestrzeni, bo inaczej się wszyscy ugotujecie. Gdy zobaczyłam w Bangkoku dwójkę rozmiarów 2 na 3 metry nie miałam wątpliwości że dla naszej czwórki będzie to za mało. Ponieważ byliśmy w trójkę dorosłych najczęściej dostawaliśmy family room z trzema łóżkami po czym dwa łóżka zestawialiśmy i kładliśmy chłopców z nami. Przeciętnie za pokój dwuosobowy (z łazienką i klimatyzacją, bo temperatury były w granicach 28-37 st) płaciliśmy 10 – 15 USD, za trójkę 15 - 20 USD. Naszym absolutnie ukochanym hotelem był Mysteres d'Angkor (www.mysteres-angkor.com) w Kambodży. Położony na uboczu, pozwalał na odcięcie się od tłumów turystów, a przede wszystkim miał basen (z brodzikiem!) gdzie spędzaliśmy każdą wolną chwilę. W hotelach dostawaliśmy czyste ręczniki oraz pościel, więc nie było potrzeby zabierać tego z domu. Dla chłopców wzięliśmy (specjalnie uszyte przez mamę Krzysia) śpiworki z cienkiej bawełny, dzięki czemu się nie rozkopywali, a jednocześnie nie przegrzewali, co było istotne w klimatyzowanych pomieszczeniach.

Pierwszej nocy ugotowani upałem (temp. w BKK były w granicach 28-30 st) nastawiliśmy klimatyzację na 23 st i w nocy zrobiło się po prostu zimno. Optymalną temperaturą okazała się 26 st. Niestety, jako że w tych krajach kto ma klimatyzację ten mrozi na potęgę (w kafejkach internetowych, taksówkach, sklepach), a napoje sprzedaje się prosto z lodu, to nie uniknęliśmy przeziębienia i po kilku dniach bólu gardła prawie straciłam głos, a chłopaki zaczęli pokasywać.

Transport

Podróżując z maluchami człowiek szybko dochodzi do wniosku, że im prościej tym lepiej. Dlatego staraliśmy się unikać przejazdów z wieloma przesiadkami, a tam gdzie to było możliwe wykupywaliśmy przejazd spod hotelu do miejsca docelowego. Podczas podróży z głodu się nie umrze, bo każdy ma w rozkładzie przewidziany postój na dożywienie pasażerów. W Birmie i Kambodży nie jeździ się nocą (wyjątkiem jest droga z Poipet do Siem Reap) jako że drogi kiepskie i jest to po prostu niebezpieczne. W Birmie na cały czterotygodniowy objazd wynajęliśmy od pana Ohn Theina (ohnthein@mail4u.com.mm) minibusa za 1100 USD (w cenę wliczone jest wszystko: paliwo, opłaty drogowe i parkingi), noclegi i jedzenie kierowcy i pomocnika są płacone przez nich.

Higiena

Zabraliśmy ze sobą zapas pieluszek Pampers na połowę podróży, bo w Birmie są one nieosiągalne. W Kambodży i Tajlandii można je dokupić bez problemu w sklepach typu „7 eleven” (30B za 4 szt) oraz marketach (w Kambodży 4,5 \$ za 19 szt). Ich wadą jest mniejsza chłonność i niestety chłopcy dostawali w nich potówek, a po powrocie do kraju znikły po jednym dniu. Gdzie się dawało puszczałyśmy Stasia bez pieluch i nikomu to nie przeszkadzało, nawet jeśli został obsiansiany! Na szczęście pranie jest tanie: w Tajlandii 25 B za 1 kg, w Birmie ok 0,10 –20 USD za szt, tylko w Kambodży trzeba naszukać się by było 1 USD za 1 kg, bo w hotelach chcą 800 R do 3 USD za

sztukę(!), nawet jeśli są to ubranka dziecięce. Wszystkie łazienki mają prysznice: Stasia kąpaliśmy trzymając go na rękach, Michaś miał buty basenowe i trzeba tylko było go pilnować, by nie pił wody z kranu. Gdy mieliśmy łazienkę na korytarzu, do kąpieli ze Stasiem szłam otulając nas oboje w pareo co było idealnym strojem. W hotelach trochę lepszych niż te najtańsze nie stwierdziliśmy w pokojach dodatkowego życia.

Zdrowie

Na żadnej wyprawie wcześniej nasza apteczka nie była taka wielka! Dwa pudełka pełne leków i apteczka osobista Jany Sport. W sumie jakieś 2 kg... Na skutek nieszczęśliwych zbiegów okoliczności nie udało się nam sprowadzić na czas Malarone dla dzieci, więc zabieramy dawki dla dorosłych i gilotynę by ją dzielić. Michaś dostawał profilaktycznie 1/4 tabletki dorosłej, Staś 1/8. Decydujemy się podawać Malarone od tajlandzkiej wyspy Ko Samet. W Birmie wszyscy się zaklinają, iż malarii tu nie ma (choć wg WHO jest jak najbardziej) i wygląda, że to prawda bo malaria występuje tam gdzie i tak turyści nie mają dostępu, ponadto 2 miesiące to i tak za długo, by co dzień brać tabletki. Natomiast na Ko Samet (Tajlandia) jak i w Kambodży malaria występuje, więc od tego momentu bierzemy leki (z wyjątkiem mnie, bo jako mama karmiąca dawałabym za dużo chemii Stasiowi). Mimo pory suchej komarów trochę jest, więc co wieczór używamy repelentów (chłopcy mają specjalny dla dzieci). Naszym podstawowym problemem zdrowotnym były drobne biegunki u dorosłych po eksperymentach kulinarnych (leczone skutecznie laremidem) oraz przeziębienia (dzieci przy ostrych atakach kaszlu dostawały Sinecod, na ból gardła braliśmy Strepsil – oba leki do kupienia w Tajlandii). Kiedy wróciliśmy z Birmy z przewlekłym kaszlem, w aptece na Soi Rambuttri (Tajlandia, BKK) farmaceutka dobrała nam antybiotyk i po kilku dniach byliśmy zdrowi. Poza tym bardzo przydały się leki na gorączkę (dla dzieci Nurofen w płynie oraz Eferalgan w czopkach, dorośli Ibuprofen, Apap). Leki w czopkach w tropikach się rozpułwiają, więc przed ich podaniem trzeba było znaleźć lodówkę (najczęściej te na napoje w hotelach, raz zamrażarka do lodów w sklepie) – wszyscy odnoszą się do takiej prośby ze zrozumieniem. W Tajlandii na Khao San Road i Soi Rambuttri jest kilka aptek gdzie dostanie się większość przydatnych leków (na przeziębienia, gorączkę, oparzenia etc), niektóre apteki działają nawet do północy. W Kambodży są markety z towarami za USD dla turystów też można sporo dostać. Apteka w Birmie (Rangun) zaskoczyła nas, że nie tylko były tam leki przeciwbólowe dla dzieci światowych koncernów, ale też i elektroniczny termometr z miękką końcówką oraz Strepsile. Słowem z zaopatrzeniem w leki w tej części Azji nie jest źle.

Ubezpieczenie

Jako że przy dziecku wszystko się może zdarzyć, a w Azji szpitale w których leczą się turyści kosztują odpowiednio dużo, wykupiliśmy wariant podstawowy w Warta Travel (mają całodobowe Centrum Alarmowe). Cena za dzień ubezpieczenia wyniosła 2,90 zł, przy czym dzieci i studenci do 24 roku życia mają 30% zniżki. Ważne: zwykle podstawowa składka ubezpieczenia nie obejmuje leczenia chorób tropikalnych, aby weszło ono do polisy trzeba dopłacić +50% . Na 54 dni z tym rozszerzeniem wyszło nam 230 zł na osobę dorosłą (zdecydowanie taniej niż w PZU przy bardzo podobnym zakresie ubezpieczenia). Przy wyjazdach do 30 dni Warta Travel oferuje pakiet rodzinny, gdzie zniżka na drugie dziecko wynosi 50%.

Co zabrać – ekwipunek

Wózek się bardzo przydaje: albo wozimy w nim Michasia, albo jedno z dzieci w nim śpi. Ważne by był lekki i łatwo się składał. Kiedy kilka razy dziennie trzeba go pakować do tuk-tuka, na prom, to waga i łatwość złożenia stają się strategiczną sprawą. Mieliśmy MacLarena Techno XT z rozkładanym do poziomu oparciem (bardzo cenne, gdy trzeba nagle przewinąć dziecko), jedyne zastrzeżenie to, że w tej pozycji jest on mało stabilny gdy dziecko zacznie się wypychać do tyłu to może się przewrócić (przydarzyło się to nam 2 razy). Dlatego w takiej pozycji wózek należy tyłem o coś oprzeć. Zaletą było podnoszenie tylnej klapy budki, dzięki czemu był przewiew. Do przypinania go w tuk-tukach wzięliśmy taśmę do mocowania z szybkozłączką zaciskową (do kupienia w każdym markecie budowlanym). Na trekking w Birmie dla Michasia zabraliśmy nosidełko (przydało się też w świątyni Bang Mela w Kambodży), natomiast do noszenia Stasia miałam długą chustę Babylonia. Mimo moich obaw co do upału, w Tajlandii i Birmie dawało się w niej nosić malucha bez problemu, natomiast w Kambodży zrobiło się tak gorąco i wilgotno, że miałam ją na sobie tylko trzy razy: przechodząc granicę oraz gdy na wschody słońca nad Angkor Vat zostawałam sama z dwójką dzieci. Natomiast ani razu nie użyliśmy uprząży typu „smycz” jaką mieliśmy dla Michasia, choć nasi przyjaciele podczas wyprawy w Nepalu z dwulatką uznali, że dla nich była to podstawowa rzecz. No cóż, kompletując ekwipunek trzeba wziąć pod uwagę, iż dzieci i ich potrzeby są różne... Z nietypowych rzeczy warto dla dzieci zabrać gumowe buty z protektorem (takie jak na basen), dzięki czemu nie będą się ślizgać na kafelkach w łazience. Do codziennego chodzenia Michaś miał sandały zapinane na rzepy Ecco (1

para wystarczyła), ja miałam sandały Nike z protektorem, Krzyś zabrał poza sandałami Ecco lekkie buty trekowe, a Ola za 200 B dokupiła sobie na Khao San sandały (ale bez protektora i trochę go na trekku brakowało).

Pieniądze

Na cały wyjazd zabraliśmy USD, (w tym sporo jedynek), ale ponieważ w Birmie za wszystko co rządowe płaci się dolarami, więc w dowolnym hotelu/punkcie sprzedaży biletów wystarczy dać większy nominal i resztę dostanie się w drobnych. Mieliśmy też dwie karty kredytowe (Citibank - wypukła i Kredyt Bank - płaska). W Tajlandii z karty Kredyt Banku wypłacaliśmy pieniądze: 10 000 B w złotych wyszło 880 zł + 26 zł prowizji, czyli w sumie porównywalnie z zamianą złotych na USD a tych na baht, ale jako że kursy się zmieniają, warto sprawdzić przed wyjazdem co się bardziej opłaci. W Birmie bankomatów nie ma, a kartami można płacić tylko w drogich hotelach oraz... sklepach z pamiątkami na jez. Inle. W Kambodży bankomaty widzieliśmy, ale jako że tam z miejscowej waluty praktycznie się nie korzysta (wszystkie ceny w USD), więc nawet nie sprawdzaliśmy czy to działa (bankomaty i tak działają na USD). W Birmie jest przesąd, że banknoty 100 USD seria CB są fałszywe - bez problemu można je wymienić w innych krajach Azji, ale tutaj lepiej zabrać inne serie.

Zakupy

Najlepiej kupować pamiątki pod drodze – gdy coś akurat wpadnie nam w oko. Prawdziwym zagłębieniem z pamiątkami jest w Birmie – Pagan, w Kambodży – Siem Reap a w Tajlandii BKK – okolice Khao San Road. Kupując trzeba się targować, bo ceny są co najmniej 2 razy zawyżane, choć w Bangkoku najtrudniej zbić cenę (zwykle udaje się o 30%). Naszym patentem gdy mamy więcej pamiątek niż daje się zmieścić do plecaka jest kupowanie na targu zwykłego kosza na ryż (z pokrywą). Następnie do niego pakujemy zakupione dobra, nakładamy pokrywę, obwiązujemy sznurkiem i nadajemy na lotnisku na bagaż. Metoda się nam zawsze sprawdza!

Wizy i Ambasady

Tajlandia

Wiza wykupiona w Warszawie 100 zł za jeden wjazd, pobyt każdorazowo na 30 dni, na lotnisku za 15 USD można mieć wizę tranzytową ważną na 15 dni pobytu. Na przejściu w Aranya Prathet-Poipet wiza jednokrotnego wjazdu kosztuje 1000 B. Gdy Polska podpisze układ z Schengen to tak jak obywatele starej Unii wiz nie będziemy potrzebować.

Ambasada Królestwa Tajlandii w Polsce

ul. Willowa 7 00 - 790 Warszawa,
tel.: +48 (22) 8492655, 8496414, 8491406, 8494730; fax: +48 (22) 8492630
godziny składania dokumentów wizowych pn-ptk: 9:00 - 11:30, odbiór: 14:00 - 16:00

Ambasada RP w Tajlandii

100/81-82, Vongvanij Building B, 25th Floor,
Rama 9 Road, Huaykwang,
Bangkok 10310
tel. (+66) 2-645-0367 do 9
Fax (+66) 2-645-0365
e-mail: ampolbkk@asiaaccess.net.th
www.polemb.or.th

Kambodża

Wiza wykupiona w Warszawie 80 zł, ważna na 30 dni, zwykle wyrabiana w przeciągu godziny. Można bez problemu wyrobić w Poipet, aleśmy się takich legend o tym przejściu nasłuchali, że woleliśmy mieć ją wcześniej.

Ambasadzie Królestwa Kambodży w Polsce

ul. Drezdeńska 3, tel. 22/616-52-31
codziennie 8-12 14-16
email: royalembassyofcambodia@neostrada.pl

Ambasada RP w Kambodży

767 Monivong Boulevard, Phnom Pehn Cambodge, P. O. Box 58

tel. (0-0855-23) 217782/3; fax 217781
e-mail: emb.pol.pp@online.com.kh
www: [www: www.polishembassy-cambodia.org](http://www.polishembassy-cambodia.org)

Birma

Wiza jest ważna na 30 dni, przedłużenie od 3 do 6 mies. tylko w Rangunie 36 USD. Wizę można wyrobić w Berlinie (jest gotowa następnego dnia, koszt 25 EUR), albo w Bangkoku (lub innym azjatyckim mieście gdzie jest ambasada). Cena u agenta wizy gotowej na następny dzień – 2000 B (zdzierstwo!), za pięć dni (roboczych) – 1100 B, wyrabiana bezpośrednio w ambasadzie – 20 USD. Skorzystaliśmy z agenta, bo perspektywa tłuczenia się na drugi koniec miasta by złożyć wniosek, a następnego dnia by odebrać wizę, nas zniechęcała i woleliśmy w tym czasie pojechać coś zwiedzić (taki dojazd w BKK to często trzy godziny w jedną stronę).

Myanmar Embassy in Bangkok (THAILAND)

132 Sathon Nur Rd. Bangkok

Godziny urzędowania: 08h30-12h00, 14h00-16h30

Visa Fee: Approx Bath 800 taking 1 working day

tel: 02 234 4789 (Visa Section)

email: mebkk@asianet.co.th

TAJLANDIA

Bangkok

1 USD = 35 Baht

Jedzenie: owoce pocięte do jedzenia (kawałek arbuza, pół ananasa) – 10 B, banan szt – 5 B ryż z warzywami – 35-60 B, ryż z mięsem – 50 – 80 B, piwo duże – 55 – 80 B, pranie 25-35 B – 1 kg pamiątki: pareo 100 B (z nadrukiem z jednej strony) 200 B (dwustronne), komplet 6 kadzidełek 150 – 250 B, 150 B mata plażowa, 100- 700 B - ubrania

Dzień 1

Z nowego lotniska w Bangkoku Suvarnabhumi na Khao San Rd można się dostać autobusem nr 556 (klimatyzowany, 35 B, jedzie pod Pomnik Demokracji) albo taksówką. Jeśli zjedziemy na poziom 0 gdzie czekają taksówki za przejazd płaci się 400 B (i opłata 50B za obsługę koordynatora postoju TAXI). Jeśli wjedzie się na poziom 4 gdzie taksówki przywożą do odlotów jest szansa znalezienia kogoś szybko za 300 B. W obu przypadkach w cenę wliczona powinna być jazda autostradą (ok. 60 B). Przylecieliśmy po 16.00 i z racji ilości bagażu wzięliśmy dużą taksówkę za 500 B. Dojazd z lotniska w okolice Khao San zajmuje 1 do 2 godzin. Jako bazę w Bangkoku wybraliśmy Merry V Guest House na Soi Rambuttri (idąc od Khao San jest to zaułek za świątynią). Duża trójka z łazienką ale bez klimatyzacji 400 B z klimatyzacją – 600 B, dwójka 400 - 500 B. Łóżka składają się z dwóch położonych na siebie materaców, więc po ich zdjęciu uzyskaliśmy dodatkową przestrzeń do spania dla dzieci. Generalnie we wszystkich hotelach płaciliśmy tylko za nas, jako że maluchy spały z nami w łóżku.

Soi Rambuttri jest idealnym punktem wypadowym, bo blisko stąd do Khao San a jest znacznie spokojniej i jest tu cały turystyczny socjal (biura podróży, minibusy pod hotel, internet, knajpki). Najtańsze telefonowanie do Polski 10B za minutę (knajpka internetowa z szybkim łączem Happy Net, czynne 24/h za Villa Orchid Rest i New Siam Hotel i Rest w uliczce z Soi Rambuttri prowadzącej do Express Boat na Chao Praya)

Dzień 2

Płyniemy Chao Praya na zwiedzanie Pałacu Królewskiego (wstęp 400 B) i Wat Po. Upał straszliwy, więc jako że już to widziałam okopuję się z chłopakami w cieniu. Staś z miejsca budzi żywe zainteresowanie (i tak już do końca wyjazdu pozostanie) i dostaje od Tajów bardzo trafną ksywkę „Snow White”.

Dzień 3

Cel – Ayuttaya. Bilet na pociąg (dworzec kolejowy Hualamphong) III klasa – 15 B/os, II klasa – 315 B/os. O 11.20 wsiadamy do III klasy jako że to tylko 1,5 godziny jazdy. Z dworca kolejowego tuk-tuki proponują nam podwiezienie do świątyni, ale my chcemy zobaczyć trochę „prawdziwego życia” i idziemy pieszo. Błąd! Przejście tych 500 metrów od promu w upale, z wózkami między straganami, gdzie co chwila ktoś łapie i podszczypuje z radości chłopaków – to był koszmar. Na terenie świątyni tradycyjnie: ja z dziećmi w cień, bo dla dwulatka perspektywa rzucania kamyczkami albo grzebania patykami w piasku jest o niebo bardziej atrakcyjna niż najwspanialszy zabytek... Z racji upału idę na

żywiol i puszczam chłopców tylko w majteczkach. Staś się z radości przesikuje się od razu, Michaś dodaje do tego konkret (który wyrzucam do kosza, a majtki chowam do reklamówki do prania). Powoli odrzucam kulturowe schematy. Przesikanego dziecka nie warto przebierać, bo za kilka minut ubranko będzie suche...

Wstęp do każdej ze świątyń – 30 B, przejazd na słoniu 400 B (**czekają na chętnych przy Wat Phra Ram**), zdjęcie ze słoniem 20B. Chcieliśmy zrobić zdjęcia zmierzchowe, więc nie zdążyliśmy na pociąg o 18.20 i okazało się, że w całym mieście po zmierzchu nie było taksówek ani tuk-tuków! W końcu udało się nam znaleźć tuk-tuka i zdążyć na autobus do BKK o 19.20 (160B). Wysadził nas gdzieś na końcu miasta, na szczęście był tam postój taksówek i za 170 B (cena z licznika) dojechaliśmy do hotelu.

Dzień 4

Mieliśmy pojechać do mostu na rzece Kwai, ale po wczorajszych przygodach mamy dosyć siedzenia w autobusach. Decydujemy się na rejs kanałami Bangkoku. Najpierw pani w informacji turystycznej mówi, że za 100 B możemy wziąć udział w zorganizowanej wycieczce. Potem okazuje się, że to tylko rejs wzdłuż Chao Praya (to samo za 1/3 ceny widzi się płynąc tramwajem wodnym). Za 600B (od osoby!) możemy zobaczyć farmę węży i coś tam jeszcze. Decydujemy się wynająć łódź za 900B.

W programie:

- pływający targ (w praktyce będzie to jedna łódka z pamiątkami)
- farma węży (za wstęp opłata 150 B/os + oczekują po 20B za foto z wężem i napiwków po pokazie – w Instytucie Pasteura to samo za połowę ceny). Do tego wokół małe klatki ze zwierzętami wariującymi z ciasnoty i nudów.
- kanały – i tu płynie się miło patrząc na życie w domach na palach
- tradycyjny dom (wstęp 200B,) w nim pokaz tańców (pewnie z 5 minut) i sklep z pamiątkami
- farma ryb – czyli miejsce gdzie wrzuca się chleb, a ryby kottują się w rzece
- Muzeum Królewskich Berek – warto bo piękne, choć na ich zobaczenie mamy tylko kilka minut
- Wat Arun – widziana z wody, czyli dokładnie tak samo jak widzi się ją z tramwaju wodnego

Słowem czujemy się troszkę wpuszczeni w turystyczne maliny... Wieczorem pakujemy bagaże, to czego nie potrzebujemy (przewodniki, ciepłe ubrania na powrót) zostawiamy w przechowalni w Merry V GH (10B/dzień/sztuka bagażu). Jutro Birma!

BIRMA

1 USD = 1200 ks

jedzenie: kiść bananów 10 szt – 200 ks, arbuź 10 kg – 2000 ks, 6 x 1 l woda – 900 ks
ogórek duży – 100 ks, ryż z warzywami – 800 – 1200 ks, ryż z mięsem – 1000 – 1600 ks, tąpura (zapekane w cieście warzywa, mniam!) – 800 – 1200 ks, herbatniki THA ZIN typu petit-beurre – 300 ks za dużą paczkę, piwo Myanmar, duża butelka – 1500 – 2000 ks, rum Mandalay 0,50 – 800 ks, Star Cola puszka – 200 ks, Coca Cola puszka 800-1200 ks
pranie 200 ks – 1 szt

Pamiątki: fajki opiumowe 4-5 USD, talerze z laki 5-8 USD, bluzki z jedwabiu 4-5 USD

www.shwepla.net/Calendar/ThinkCal.mv - terminarz świąt w Birmie – przydatne przy planowaniu podróży

Dzień 5

Pobudka 4 rano, o 5 bierzemy taksówkę i jedziemy na lotnisko. Wylot o 7.15 a trzeba być wcześniej. W Rangunie wita nas uroczą dziewczyną z tabliczką Anka + 4 – to córka Ohn Theina (ohnthein@mail4u.com.mm) od którego wynajmujemy samochód a właściwie minibusa. Jesteśmy mile zaskoczeni przestrzenią w środku – idealnie dla czterech osób, nam z dwójką maluchów też jest tu wygodnie. Cena wynajmu na 2 tyg: 650 USD, na 4 tyg. 1100 USD. Jedziemy do Rangun, pan Ohn Thein zarezerwował dla nas hotel, ale już jego nazwa nas zniechęca: Asian Plaza. Dość szybko udaje się nam wyłumaczyć naszemu przewodnikowi, że planujemy wydawać nie więcej niż 15 USD na 3 osoby na nocleg. Decydujemy się na hotel w okolicach Sule Paya – tam jest najbliżej życia i serca miasta. W dwóch pierwszych hotelikach nie ma miejsc, w końcu trafiamy do Daddy's Home na Kon Zay Dan Str (dwójka na trzecim piętrze bez okna z klimatyzacją 10 USD, jedynka 6 USD). Usiłujemy wrzucić info na stronę Małego Podróżnika - okazuje się, że w Rangunie są tylko 3-4 knajpki internetowe (to i tak postępowe, że tu są!). Większość stron typu google etc. jest zablokowana przez rząd.

Na szczęście są do tego obejścia i jak ktoś ma konto pocztowe: wp, tlen, gmail itp... to może korzystać przez free server ale uwaga! – w hotelach nie muszą mieć programów do obchodzenia zabezpieczeń więc liczyć należy tylko na entuzjastów w cyber-cafe. My korzystamy z własnego systemu blogowego, który nie korzysta z protokołów pocztowych i nie mieliśmy problemu z dostępem (poza jakością łącz). Pan Ohn Thein wymienia dla nas pieniądze (1250 ks za 1 USD, kurs w głębi kraju jest nieco niższy, w granicach 1150 ks), po czym siadamy i spisujemy kontrakt wynajmu samochodu (!). W cenę jest wliczone paliwo oraz opłaty drogowe, nie ponosimy kosztów żywienia i noclegu kierowcy i przewodnika (bo tu jeździ się dwójkami, jako że ruch jest prawostronny i kierownice są... z prawej strony). Umawiamy się na następny dzień. Dziś chcemy sobie pochodzić po ranguńskiej starówce.

Właśnie zaczął się Chiński Nowy Rok, więc po południu mamy okazję zobaczyć tańce smoków. Towarzyszą im muzycy i kilkunastu gapiów – jesteśmy jedynymi turystami! Częstują nas ciasteczkami, cukierkami (Michaś wniebowzięty łapie co się da do buzi, Staś mimo wściekłej głośnej muzyki zasnął w szalu) i wszyscy bardzo się cieszą, że tu jesteśmy. Gdy na koniec dajemy smokowi 5 USD entuzjazm sięga zenitu.

Wieczorem trafiamy na kolację do Okinawa Restaurant gdzie będziemy się często stołować. Obsługa od razu przejmuje opiekę nad chłopcami. Michaś uczy się grać w piłkę (bambusowa plecionka), a Staś noszony na rękach zwiedza świat. Przez cały pobyt w Birmie gdy tylko się gdzieś pojawialiśmy ze Stasiem od razu byli ochotnicy do zajęcia się nim, z czego skwapliwie korzystaliśmy (by móc spokojnie zjeść). Chłopcy dostawali taką ilość miłości i ciepła od miejscowych ludzi, że było to wręcz niewyobrażalne. Trzeba było tylko pilnować, by nie dokarmiali Stasia: raz przyłapałam go z herbatnikiem, raz ze smażonym plackiem, a raz kobieta chciała mu dać wody. Oczywiście nie z butelki tylko taką z kranu. Wszystko to z dobroci serca, więc gdy ktoś brał Stasia mówiłam, że on nie je nic poza mlekiem mamy i zwykle to skutkowało.

Tego dnia maluchy szalały prawie do północy, a my padaliśmy na pysio. Cóż, nikt nie obiecywał, że będzie łatwo...

Dzień 6

Przylatuje zaprzyjaźniona ekipa podróżników, po rozlokowaniu jedziemy naszymi samochodami do ambasady Tajlandii (były wieści że wiza tu kosztuje 10 USD, niestety kosztuje 25 USD) więc odpuszczamy sobie jej wyrobienie i jedziemy do przepięknego posągu Odpoczywającego Buddy (Chaukhtatgyi Paya, wstęp bezpłatny). W sklepiku obok kupuję piękną parasolkę z materiału (ok. 6 USD) do ochrony Stasia przed słońcem. Potem spotkanie z cudem Rangunu - pagodą Szwedagon (wstęp 5 USD). Michaś jest uszczęśliwiony bo może lać wodę na posąжки (forma modlitwy) a potem dmuchać na kadzidełka, czym budzi powszechną wesołość. Staś tradycyjnie śpi.

Dzień 7

Rangun – Bago 2,5-3 h

Bago-Taungoo – 5 h

Rano wyruszamy w objazd kraju. Rezygnujemy z zobaczenia złotej skały Kyaiktyio bo wciąż jest w rusztowaniach z bambusa i prawie jej nie widać. Jedziemy do Bago. Najpierw świątynia z 4 wielkimi posągami Buddy (Kyaik Pun Paya, wstęp 3 USD, ale wszystko widać z zewnątrz), potem Leżący Budda (Shwethalyaung Budda, wstęp 10 USD bo jeszcze ten bilet coś obejmuje, sam posąg można zobaczyć podchodząc do kasy bez płacenia). Wreszcie jedziemy do Snake Monastery (święta pythonica ma 118 lat, waży 110 kg i leży z głową na jedwabnej poduszce), za drobną ofiarę (1000 ks) dostajemy błogosławieństwo i możemy pogłaskać świętego węża. Pan Ohn Thein wiezie nas na obiad do knajpki z myanmar food: kilka talerzy z różnymi mięsami i zieleń + ryż. Za obiad dla 3 osób + 2 piwa płacimy 7000 ks (ok. 6 USD). Po drodze do Taungoo mijamy śliczną malutką pagodę: jest biała i wygląda jak bezowy tort. Zatrzymujemy się na zdjęcia, po czym gnamy do samego Taungoo. Nocujemy w Mother's House GH (pokój 3-osobowy nasz przewodnik znegocjował dla nas do 15 USD, 2-osobowy kosztuje 20 USD).

Dzień 8

Taungoo – Kalaw – 10 h

(w tym godzinna przerwa na obiad i dwie przerwy po pół godziny)

Cały dzień w samochodzie – na szczęście mimo upału przy otwartych oknach daje się w nim spokojnie wytrzymać. Dla Stasia wzięliśmy fotelik samochodowy (który panu Ohn Theinowi

zostawiliśmy), dzięki czemu maluszek wygodnie sobie śpi nie bacząc na wyboje. Michaś też dobrze znosi jazdę siedząc nam na kolanach, a kiedy zaśnie kładziemy go na tylnym siedzeniu. Problemem Birmy są fatalne drogi. W połowie trasy kończy się asfalt a zaczynają serpentyny po laterycjach przetykanym kamieniami. Są chwile, gdy właściwie nic nie widać w tumanie kurzu.

Nocujemy w Dream Villa (w LP wpisana do mid-range), gdzie dzięki układom Ohn Theina dostajemy piękną trójkę za 15 USD (dwójka kosztuje 12 USD). I byłoby pięknie, gdyby nie to, że jest... zimno! Po strasznych upałach równin tutaj powietrze wydaje się bardzo rześkie. Ubieramy więc siebie i chłopaków we wszystko co mamy i idziemy do Sam Family Restaurant. Z Samem byłam na trekkingu podczas pierwszego pobytu, z Tun Ti (jego zięciem, prawidłowo pisze się Khun Htun Ti) podczas drugiego pobytu, więc i teraz się chcę z nimi umówić. Witają nas jak rodzinę, wymieniamy się wieściami, czujemy się po prostu jak w domu. Decydujemy się na trekking do jez. Inle w wersji skróconej, czyli do połowy trasy podrzucą nas samochód. W wersji trzydniowej idzie się: 1 d – 5,5 h, 2 d – 6,5 h, 3 d – 4 h. My pierwszego dnia idziemy 4 h, drugiego wyszło nam 6 (z postojami dla Michasia). Jako stali klienci dostajemy zniżkę z 10 na 8 USD/os. Musimy zabrać zapas wody dla siebie (jedzenie i kucharza zapewnia Tun Ti), więc wynajmujemy tragarza (3500 ks/d) i postanawiamy spakować siebie i chłopaków w jeden plecak (Jany Sport 70 l).

Dzień 9

Kalaw – Pindaya 1,5 h

Robimy sobie dzień ulgowy i rano jedziemy do jaskiń z posągami Buddy w Kalaw. Robią wrażenie, ale nic to w porównaniu z tym co czeka nas w Pindaya (wstęp 3 USD). Tutejsze jaskinie tworzą skomplikowane labirynty, a każda ze ścian pokryta jest posągami Buddy – w sumie jest ich kilka tysięcy. Miejsce niesamowite i fascynujące, chętnie bym tam z pół dnia spędziła, ale chłopaki w pewnym momencie zgodnie dochodzą do wniosku, że im nudno i natychmiast mamy coś z tym zrobić – najlepiej wyjść na dwór... Pod jaskiniami są warsztaty produkujące parasolki (kiepskie) oraz papier czerpany (fajny) i sprzedające pamiątki (warto się rozejrzeć i potargować). Wracamy do Kalaw i uzgadniamy szczegóły trekkingu. Wieczorem okazuje się, że Ola ma ponad 38 st gorączki. Zastanawiamy się czy nie przełożyć treku, ale póki co wydajemy leki z apteczki i idziemy spać.

Dzień 10

Ok. 4 godziny trekkingu

Rano Ola czuje się nieszczęśliwie ,ale dzielnie decyduje, że da radę, zatem wyruszamy! Staś w długiej chuście Babylonia, Michaś w nosidełku (ups, wypakowując się z samochodu zapomnieliśmy zabrać daszek od słońca), tragarz bierze nasz plecak i zaczynamy przygodę. Po kilkunastu minutach marszu Tun Ti robi Oli masaż przeciwbólowy (do osłabienia po gorączce przyplątał się stan zapalny biodra) – na szczęście do wioski gdzie mamy obiad jest jeszcze tylko godzina marszu. Na miejscu czeka nas chata na palach i zastawiony stół. Wkrótce też zbiera się pokaźna gromadka dzieci, którym rozdajemy balony. Michaś jest wniebowzięty ganiając między nimi, zaś towarzystwo bawi się obserwowaniem dwóch białych malców. Po obchodzie wioski (to dziwne uczucie, ale z racji dzieci to my jesteśmy największą atrakcją! Patrzcie – biały niemowlak a ma takie same uszka i paluszki!) postanawiamy dla Oli wynająć wóz ciągnięty przez woły (ox cart, 9000 ks), którym przejedzie połowę dalszej trasy. Trząśł i skrzypiał tak straszliwie, że Ola gdy ją spotkaliśmy uznała iż cała choroba z niej wyszła i dalej chętnie pójdzie pieszo! Temperatury sięgają 32-35 st, ale wieje lekki wiatr więc się tego nie odczuwa. Stasia noszę z przodu by móc go dobrze osłaniać od słońca, Michasiowi improwizujemy daszek z patyków i pareo. Wieczorem dochodzimy do wioski gdzie nocujemy w klasztorze. Robi się coraz chłodniej – dwa tygodnie temu temp. spadła do 0 stopni i był szron na trawach, teraz jest co najwyżej 10 st. Na miejscu czeka na nas przełożony klasztoru, jego zastępca oraz sześciu malców w nowicjacie a także koldry, koce no i oczywiście wspaniała kolacja zrobiona przez naszego kucharza. Przysmakiem Michasia są ziemniaczane prażynki, naszym - kukurydza z ryżem (mniam!). Niestety noc nie jest łatwa – Staś do 3 nad ranem budzi się co chwila z płaczem (chyba to zimno mu przeszkadza), zaś Michaś o północy robi kupę, co oznacza iż musimy go przewinać... Gdy już w końcu zasnęliśmy, o 6 rano obudziły nas modlitwy...

Dzień 11

Ok. 5-6 godzin trekkingu

O świcie wychodzę ze Stasiem w szalu na słońce i niczym legwan chłonę ciepło. Za dwie godziny będę się przed nim chronić, na razie z lubością się wygrzewamy. Na śniadanie dostajemy: ryż z

orzechami, jajka na twardo, prażynki ziemniaczane, ciasteczka, papaje i banany oraz herbatę. Wyruszamy o 8.30 rano, uzupełniając zapas wody w jedynym sklepiku w okolicy. Przez pierwszą połowę dnia idziemy w cieniu gór które powstrzymują wszelki powiew, w drugiej połowie zaczyna się ostre zejście po kamieniach. Mam sandały z protektorem, ale zazdroścę Krzysowi, który zabrał porządne buty trekowe. Staś mimo upału większą część trasy przepała, za to Michaś ma kryzys za kryzysem i co chwila domaga się postoju, a gdy widzi że zamierzamy go włożyć do nosidełka wpada w rozpacz i wyje. Nie jest dobrze. Przez ostatnie pół godziny Krzys niesie Michasia na rękach, za to Staś w tym momencie zaczyna rozpaczliwie płakać. W końcu koło 14.00 docieramy do czekającej na nas łodzi (przeplnięcie przez jez. Inle do Nyaungshwe - 15 000 ks), po drodze dzieci zasypiają a my dostajemy jedzenie w pudełkach (ryż z prażonymi orzechami). Na brzegu czeka na nas Ohn Thein z informacją że w kultowym ale małym Aquarius Inn w którym chcieliśmy zanoćować nie ma miejsc i jedziemy do położonego obok drogiego i bezpłatnego Gold Star Inn (znegocjowanego przez naszego przewodnika do 17 USD za trójkę). Wieczorem okazuje się, że Michaś dostał temperatury (po całym dniu zapewne udar słoneczny), więc noc upływa nam na podawaniu na przemian Nurofenu i Eferalganu.

Dzień 12

Nyaungshwe – Kakku - 2,5/h w jedną stronę

Standardowym punktem programu jest wycieczka na jezioro Inle, ale uznajemy, że pobyt na słońcu nie będzie dobrym pomysłem dla Michasia i jedziemy do Kakku – pagody otoczonej przez 2000 stup. Wstęp po 3 usd od osoby + 5 USD za wynajem przewodnika. Jest nim piękna dziewczyna z ludu Pak O, która w kilku zdaniach mówi nam o pagodzie (a dzieci wyją) i rozumiejąc naszą trudną sytuację dziękuje nam za uwagę. Krzys i Ola idą zwiedzać, ja chowam się w cieniu i usiłuję opanować rozpacz Michasia. Niestety wciąż ma gorączkę, więc jest nie do życia: taki upiorny, klasyczny dwulatek. Choć w tym wypadku go rozumiemy, ale niestety nie mamy sił by go wciąż utulać. Wracamy po południu do hotelu by chłopaki odpoczęły i nabrały sił przed jutrzejszymi wyzwaniem.

Dzień 13

Dziś spotkanie z atrakcjami jeziora Inle (wstęp 3 USD, wynajem łodzi na cały dzień 16 000 ks, ze zwiedzeniem dodatkowo dalej położonej świątyni Indein 18 000 ks). Wyruszamy o 8.00, wracamy o 16.00. Jako że o świcie na łodzi wieje i jest rześko ubieramy chłopców w ciepłe rzeczy (Michaś dostał rajstopki a Staś welurkowy pajacyk!), koło 9 przebieramy ich w lekkie koszulki i spodenki, jako że najlepiej chronią one przed słońcem. Stasiowi wkładamy do łodzi samochodowy fotelik, a z pareo robimy namiotek chroniący przed słońcem. Dyżurne atrakcje jeziora to:

- rybacy wiosłujący nogami
- pływające ogrody i grządki
- wioski na palach
- pływający targ w Ywama (i tu porażka, bo jest to miejsce opanowane przez turystyczne łodzie, targ jest na lądzie, a ceny pamiątek kosmiczne: fajka opiumowa 20 USD i nie chcą schodzić z ceny!)
- warsztaty (tkackie, kowalskie, papierosów, złotnicze) gdzie można kupić pamiątki
- klasztor z targiem w sklepikach wokół (tutaj już ceny rozsądne: koszula szańska 3000 ks, jedwabna 5 USD)
- klasztor skaczących kotów (coraz bardziej utuczonych na Whiskas, ale wciąż skaczących)
- kobiety długie szyje w sklepie z pamiątkami (ale popłynęły gdzieś na zakupy)

Gdziekolwiek dopływamy Staś od razu jest porywany, noszony, całowany i oczywiście wszyscy się z nim fotografują. W łodziach są parasole – bardzo przydatne do ochrony przed słońcem, a przy powrocie do Nyaungshwe chroniące przed bryzgami fal.

Dzień 14

Nyaungshwe – Kalaw 3 h

Decydujemy się nie jechać od razu do Mandalay, lecz po drodze przenocować w Kalaw. Tym bardziej że od córki Sama – Violet wiemy, że w pobliskiej wiosce Lamine ma być ceremonia nowicjatu. I to gigantyczna – bierze w niej udział ponad 150 dzieci!!! Jedziemy zatem do Lamine, po drodze zaliczając pierwszą (i ostatnią na szczęście) awarię naszego samochodu: wysiada akumulator. Gdy tylko stajemy robi się w aucie upiornie gorąco, na szczęście po godzinie mamy nowy akumulator i możemy ruszać dalej. Procesja małych *samanera* faktycznie robi wrażenie, udaje mi się „sprzedać” Michasia naszemu przewodnikowi, a ze Stasiem w szalu robię zdjęcia, stając się obiektem

zainteresowania miejscowych fotografów. W końcu pierwszy raz trafia się im biały niemowlak w kadrze, więc co chwila ktoś mnie ustawia do zdjęcia. Na noc trafiaamy do Dream Villa Hotel i oczywiście na kolację do Sam Family Restaurant.

Dzień 15

Kalaw – Mandalay 7 h (w tym godzinny postój na obiad)

Wyruszamy o 8.40, po drodze:

- kurz, pył i wyboje
- Staś popełnia w spodenki mega-kupę więc stajemy na przewinięcie i na wszelki wypadek zakładam mu pieluszkę
- spotykamy słonia w wiosce – robimy postój na zdjęcia podczas którego Michaś zdobywa patyk i z entuzjazmem nim grzebie w ziemi ku uciechu miejscowych dzieci
- stajemy na telefonowanie, Staś jest noszony na rękach a Michaś znalazł kałużę i bada jej możliwości, po czym zjada kiść bananów na raz
- stajemy na obiad w chińskiej knajpie

O 15.40 zmordowani docieramy do Mandalay, gdzie w ET Guest House okazuje się, że ceny poszły do góry i jedynek z AC i łazienką kosztuje 10 USD, a dwójka 12 USD. Ustalamy 15 USD za pokój trzyosobowy (bez śniadania). Wieczorem idziemy do Nylon Ice Cream, ale szybko stamtąd zmykamy bo po pierwsze Michaś ma kolejny kryzys, a co gorsza opada nas stado komarów (wrrr!).

Dzień 16

Zmęczeni gwarem wielkiego miasta Mandalay uciekamy do Amarapury, jednej z dawnych stolic. Warto tu być o 10 rano, gdy tworzą się gigantyczne procesje mnichów (coś około 1200 osób), który ok. 11 wspólnie spożywają posiłek w towarzystwie fleszy rozentuzjasmowanych turystów. Potem idziemy na most U-Beina (wstęp bezpłatny, da się przejechać wózkami mimo odstępów deskach) i do świątyni po drugiej stronie. Miejsce ciche i spokojne, a po drodze mija się szkołę podstawową, więc jak ktoś chce ją wspomóc w długopisy i kredki to warto zajść. Potem jedziemy do Paleik, gdzie jest Snake Pagoda. Po 20 min. jesteśmy na miejscu, posąg Buddy opęłzają trzy święte pytony, na nas jednak największe wrażenie robią rzeźby węży pod którymi siedzą Buddowie. Wokół tanie knajpki, my jedziemy na obiad do knajpki (ok. 500 m. na dojeździe przed świątynią), która wygląda na bardzo porządną i drogą, ale okazuje się, że jedzenie w ludzkiej cenie ok. 1,5 USD za danie. Po południu wracamy nad most U-Beina by zrobić zdjęcia o zachodzie słońca. Wynajem łodzi na popływanie 3000 ks.

Dzień 17

W Mandalay kurs wymiany 1USD = 1200 ks. Wykupujemy combo ticket (10 USD) uprawniający do zwiedzenia zabytków w Mandalay oraz w Avie. Przy jednej ze świątyni kupujemy picie, po czym właścicielka zaprasza nas na stragan z pamiątkami. Jakoś nic u niej się nam nie podobało, więc kupiliśmy obok, po powrocie okazuje się że butelka piwa kosztuje 3000 KS a cola 1500 ks. Krzyś na nią nakrzyczał i skończyło się na 2000 za piwo i 1000 za colę. Ale od tej pory zawsze płaciliśmy NIM poszliśmy coś kupować lub niekupować. Po południu jedziemy na zachód słońca ze wzgórza Mandalay – przereklamowana przyjemność, z racji kurzu widoczność średnia, więc zmykamy nim słońce zajdzie i tłumy zaczną się stąd wydostawać swoimi pojazdami. Wieczorem idziemy do Lashio Lay Restaurant – wspaniałe jedzenie, które można sobie wybierać z bufetu, a ryżu dodają ile się chce. Zostaliśmy szczerymi fanami tego miejsca na cały pobyt w Mandalay.

Dzień 18

Mandalay – Pin U Lwin – 2 h w jedną stronę

Stasiowi pojawił się pierwszy ząbek co uczciliśmy jadąc do Pin U Lwin. Miasteczko jest położone wysoko w górach, stąd chłodniej tu niż w Mandalay, a na dzieci czeka super atrakcja: wodospady w których można się kąpać. Było trochę za rześko na kąpiel ale pomoczyliśmy nogi (dla malców przydatne butki do kąpeli) co się dzieciom bardzo podobało. Nie trzeba brać kostiumów, bo tutaj wszyscy kąpią się w ubraniach. Jako że po drodze kupiliśmy wielkiego arbuza, więc mieliśmy piknik. Potem odwiedzamy jeszcze chińską świątynię i zachodzimy do sklepiku Pacific World Curio – świetnie miejsce jeśli ktoś szuka oryginalnych, starych pamiątek, ale drogie: ceny po targowaniu się schodzą do 40-50 USD należy mieć tylko uwagę, że są to oryginalne antyki.

Dzień 19

Dziś płyniemy na spotkanie z Mingunem. O 9.10 wsiadamy do łodzi (bilet 3000 ks/os + 3 USD bilet wstępu do Mingunu i Sagaingu) by po godzinie być na miejscu. Zaskoczenie pierwsze: ilość straganów z pamiątkami! Przez całą drogę co chwila ktoś zaczepia i namawia do zakupów – koszmarek (ale jeśli się chce coś kupić to miejsce jest do tego niezłe)! A do tego upał straszliwy, więc po obejrzeniu głównych atrakcji siadamy na obiad z dużą ilością piwa (dzieci – wody). Mimo wszystko warto tu przyjechać bo niedokończona świątynia robi wrażenie (idąc ze statku, można obejrzeć pięciometrową makietę – dopiero to uzmysławia jak gigantyczne były plany budowniczych!). O 13.00 statek odpływa do Mandalay.

Popołudniu jedziemy do Sagaingu – miasta świątyń rozrzuconych na wzgórzach. Najpierw (nie bez trudu) odnajdujemy klasztor gdzie 6 lat temu wraz z Łucją mieszkaliśmy i uczestniczyliśmy w ceremonii nowicjatu. Daw Damah (przełożona klasztoru) doskonale nas pamięta i ogromnie się cieszy, że przyjechaliśmy tu całą rodziną. Zaprasza nas na następny dzień na obiad. Potem zwiedzamy klasztor na Sagaing Hill i na koniec na postoju riksza przy dworcu zostawiam informację dla Maung Htay'a – „mojego” rikszarza, że jutro z rana tu przyjedziemy.

Wieczorem jedziemy na spektakl marionetek w Mandalay Marionettes & Culture Show (wstęp 5000 ks). Zaczyna się o ósmej, w programie kilka marionetkowych spektakli z towarzyszeniem orkiestry (zupełnie odmiennych od naszych) oraz pokaz tańca ze świeczkami (Michu jest zauroczony!) i gry na birmańskiej harfie (Stas zasypia). Ola dzień wcześniej była na spektaklu u Moustache Brothers z mieszanymi odczuciami: widać że chłopaki robią na swej przeszłości straszną kasę (wstęp 5000 ks) i opowiadają te same teksty po raz tysięczny, ale za to było więcej tańców i luźniejsza atmosfera.

Dzień 20

Rano jedziemy do Sagaingu i od razu przy stacji kolejowej spotykamy Maung Htay'a. Nic się nie zmienił (to samo mówi o mnie). Siadamy na herbatce i opowiadamy sobie co się u nas działo, po czym razem jedziemy do klasztoru w jaskiniach Tilaw Kaguru (opłata – dotacja na klasztor 1000 ks/os, wewnątrz piękne freski) oraz do Kaunghmudaw Paya (gigantycznej 46-metrowej stupy wyglądającej jak jajo). Świątyń w Sagaingu jest tyle, że trzeba się dobrze zastanowić co zobaczyć, by się potem nie mijać. W południe trafiamy do „naszego” klasztoru na typowy birmański obiad podawany na niziutkim stoliku (siedzimy na matach). Na koniec wręczamy dotację na klasztor (5 USD + 5000 ks), zaś Daw Damach udziela nam długiego błogosławieństwa. Po południu jedziemy do Ava (Inwa). Prom w obie strony 1000 ks/os, bryczka konna na 2 osoby – 3000 ks. Bilet (combo ticket z Mandalay, nie do kupienia tutaj) sprawdzany jest tylko w kilku świątyniach, jeśli się go nie ma wystarczy do świątyń nie wchodzić. Drogi okrutnie wyboiste, co nie przeszkodziło to Stasiowi zasnąć w ramionach Maung Htaya... Rozstajemy się wieczorem wręczając torbę ubrań dla jego dzieci i kilka dolarów. Czuję, jakbym żegnała kogoś bardzo mi bliskiego...

Dzień 21

Mandalay – Mt Popa 5 h

Mt Popa – Pagan 1.15 h

Wyjazd z Mandalay o ósmej, po godzinie oba maluchy śpią. Generalnie znoszą jazdy bardzo dobrze, Stasiowi wyraźnie służy fotelik, a Michasiowi przestrzeń w naszym busie. Docieramy o 13.00, zamawiamy obiad i... porażka! Jako że to teren święty obowiązuje ścisła prohibicja! Najbliższy browar czeka dopiero w Paganie. Po drodze na górę Popa (kilkaset schodków!) towarzyszą nam małpy – trzeba uważać by nie odłożyć na bok aparatu bo można się nimiłto zdziwić. Pilnujemy też, by nie zbliżały się za bardzo do dzieci – udrapanie małpy kiepsko się goi no i tego typu atrakcja nam niepotrzebna, a stworzenia są nawykłe do karmienia, więc mogą drapnąć myśląc, że mamy w dłoni lub w kieszeni jedzenie dla nich. Na górze zaszywam się w najbardziej ustronnym miejscu by nakarmić Stasia i oczywiście już kilku sekundach mam sporą widownię, bo kto mnie zobaczy woła: hej, patrzcie! Białe bobo, a je jak nasze, musicie to zobaczyć! Mi to w sumie nie przeszkadza, przyzwyczaiałam się, że karmienie piersią budzi tutaj sensację, bo większość tych ludzi nigdy białego niemowlaka nie widziała...

Przed Paganem musimy wykupić bilet wstępu (10 USD) i jedziemy do Nyaung U by się zakwaterować w New Park Hotel. Jako że zostajemy tu kilka nocy dostajemy dwójkę z klimatyzacją za 11 USD, a Ola dostaje dwójkę jako jedynekę w cenie 6 USD. Hotel jest położony przy uliczce z knajpkami, przed pokojami są trawniki i ganki, więc w południe przyjeżdżamy tu by chłopaki odpoczęli i przespali się w klimatyzowanym pokoju (bo zwykle Michaś budzi się z upału i jest niedospany ergo nie do życia).

Dodatkowym atutem hotelu jest zwykle działający internet na miejscu (2000 ks za godzinę) oraz super miła obsługa, zwłaszcza recepcjonista, który tak się ze Stasiem zaprzyjaźnił, że spędzał z nim każdą chwilę a nawet usypiał go w dzień!

Dni 22 – 27

Pagan

Ciekawostka: łódź Pagan – Mandalay płynie 12 h i kosztuje 12 USD, ale już Mandalay – Pagan (ten sam czas rejsu) kosztuje.. 25 USD!

Okazuje się, że o tej porze roku wschody słońca są marne: czerwona kulka pojawia się dopiero o 6.40 wysoko nad ziemią, a do tego o świcie jest zimno! Pierwszy wschód robiliśmy z pagody Mi-nien-goon, pozostałe wschody odpuszczamy i decydujemy, że w takich warunkach lot balonem nad Paganem (250 USD, godzina lotu) zdjęciowo będzie do niczego. Przyjęliśmy zasadę, że zwiedzamy od 8 do 11, potem wracamy do hotelu na obiad i odpoczynek (zakupując po drodze piwo oraz rum i star-colę), zaś na zdjęcia wyruszamy o 16.00, jak upał nieco osłabnie. W hotelu kupiliśmy za 1000 ks mapę Paganu i pracownicy odznaczamy zobaczone świątynie, chociaż tutaj tak naprawdę trzeba zobaczyć ich kilka, a potem oddać się chłonięciu atmosfery tego miejsca i kornikowaniu w terenie.

Odpuszczamy wnoszenie chłopaków na stupy: Michaś jest najszczęśliwszy mogąc walić patykiem w pyliste drogi i wzniecać tumany kurzu, zaś Stasia nosi zwykle nasz kierowca lub przewodnik, a najczęściej miejscowi pielgrzymi, którzy masowo robią sobie z nim zdjęcia. Tylko kilka razy ich zabraliśmy do góry by mieli pamiątkowe zdjęcia. Na zachody słońca raz idziemy na Szwezdigon (w sezonie jest tu taki tłum, że trzeba uważać by nie spaść!), raz na Buledi (dużo spokojniej), a potem robimy zachody z ziemi, bo (paradoksalnie) stąd można zrobić najlepsze fotki. Przy każdej świątyni są stragany z pamiątkami, jeśli ktoś chce zrobić zakupy to tutaj albo nad Inle – te same rzeczy w Rangunie będą 2-3 razy droższe, a i na targu w Nyaung U ceny lewitują w górę. Warto też zabrać kosmetyki (najtańsze szminki, lakiery do paznokci, kredki, tusze – ważne by były nowe) – bo bardzo pomaga to w negocjacjach obniżyć cenę. Podobnie działają podkoszulki i zachodnie ubrania dla dzieci.

W Restauracji Nanda (ryż z warzywami 2000 ks, ryż z mięsem 4-6000 ks, piwo Myanmar butelka 3000, woda 200 ks, tamera – 2000 ks) są co wieczór bezpłatne spektakle marionetek, my trafiliśmy tam w południe gdy spektakl grano dla japońskiej wycieczki i byliśmy jedynymi, których ten pokaz interesował...

Ostatniego dnia Michaś dostaje ponad 38 stopni temperatury i przez najbliższe kilka dni będzie mu ona powracać. Dajemy na przemian nurofen i eferalgan i pilnujemy by dużo pił. Za to Staś został „porwany” przez obsługę i wkrótce widzę go w wersji birmańskiej: z tanaką na twarzy, kucykiem na głowie i wpiętym kwiatkiem. Wygląda ślicznie, ale ponieważ kiedyś od tanaki dostałam uczulenia więc po zrobieniu zdjęć mu ją zmywam. Ma tylko lekko zaróżowione policzki.

Dzień 28

Pagan – Pyay, 8 h

Cały dzień jazdy z krótkimi przerwami. Michaś osłabiony gorączką nie ma sił by szaleć, więc przysypia na kolanach Krzysia i nie daje się od niego odkleić. Późnym popołudniem docieramy do Pyay. Najpierw nasz przewodnik podwozi nas do jakiegoś droższego hotelu, gdzie chcą od nas 24 USD za trójkę, więc każemy się zawieźć do Myat Lodging House – trójka (bez łazienki, ale z klimatyzacją) kosztuje tu 15 USD. Ponoć od 23.00 nie będzie tu prądu, ale tym razem był całą noc. Wieczorem idziemy na spacer po mieście i trafiamy na nocny targ gdzie kupujemy owoce i arbuza w kawałkach do zjedzenia na miejscu.

Dzień 29

Pyay – Rangun, 6 h

Rankiem wyruszamy by po drodze zobaczyć jedyny posąg Buddy w Okularach w Shwemyetman Paya w Shwedaung po drodze do Rangun. Okazuje się, że dach świątyni w remoncie więc wszystko w rusztowaniach, ale i tak Buddę widać. Zmęczeni i zakurzeni w końcu docieramy do stolicy. Rangun powitał nas upałem i urokiem starówki. W White House za family room (na 7 osób!) chcą 27 USD, a klitka bez klimatyzacji i łazienki kosztuje 18 USD. W sąsiednim Daddy's Home też od upału oszaleli i

za te same pokoje co cztery tyg. temu chcą teraz po 15 USD. W końcu w Golden Smiles Inn dostajemy pokój na pierwszym piętrze z 3 łózkami, oknem, AC i łazienką za jedyne 15 USD. No i atutem tego hotelu jest taras na którym je się śniadania i skąd można obserwować życie miasta. Idziemy na wieczorny spacer. Wszędzie na widok Stasia uśmiechy, wołania, radość że widzą coś tak niezwykle. Tego nam z pewnością będzie brakować po powrocie, bo w kraju nikt się naszymi chłopakami tak zachwycać nie będzie. Po drodze kupujemy przysmak Michasia: prażoną kukurydze (100 ks) i pierożki (mała siatka różnych rodzajów za 500 ks).

Dzień 30

W nocy Staś dostał ponad 38 st temperatury, więc dajemy mu leki. Wszyscy kaszlemy i wygląda na to, że o tej porze roku, przy panującej w Birmie suchości i pylistości dróg 4 tyg. to o tydzień za dużo... Spotkana przy śniadaniu Niemka (ok. 70 lat, 6 raz w Birmie) twierdzi, że tu gdzie podróżowaliśmy malarii nie ma, więc jeden stres mi odpada. Na wszelki wypadek jednak poleca nam Military Hospital jako bardzo dobrze wyposażony. Robimy sobie dzień wolnego, oddajemy rzeczy do prania i nic nam się nie chce. Zbieramy siły przed dalszą podróżą.

Dzień 31

Noc z tych cięższych – coś się w klimatyzacji ukręciło i choć mieliła powietrze nie było od tego chłodniej. Co chwila dopajamy dzieci. Najgorsze, że Michaś domagał się przytulenia, co w tych temperaturach nie było miłe, więc kładłam jego głowę na moim ręku i głaskałam aż zasnął. Doszło do sytuacji, w której na korytarzu (jakieś 29 st) było zdecydowanie chłodniej niż w pokoju! Na szczęście za dnia klimatyzacja została zreperowana, ale cośmy się wycpocili to nasze. Aby wysłać maile idziemy do Cyber World – niestety „no power, no connection”. Siadamy w knajpce obok Aroma Cafe na pysznej mrożonej kawie (1200 ks) a po godzinie okazuje się, że power się znalazł i możemy wysłać wieści. Wracając do hotelu kupujemy leki przeciwgorączkowe w aptece. Idziemy jeszcze zobaczyć jedyną synagogę w Birmie (przecznica za Kon Zay Dan Str) oraz wyruszamy na spacer nad jeziorem Kandawgyi by zobaczyć Karaweik (makietę królewskiej barki - ekskluzywna restauracja). Gdy wychodzimy z parku okazuje się, że mamy wnieść opłatę po 1 USD, czego zdecydowanie odmawiamy. Wieczorem krótka wędrówka po ulicach i... trzeba się spakować co trwa do północy.

Dzień 32

Rangun – Bangkok

Wylatujemy o 8.30, żegnamy się z Ohn Theinem (zostawiamy mu nasz album o Polsce i mapę Birmy) oraz z naszym kierowcą któremu dajemy kilka kosmetyków dla żony (tutaj to chodliwy towar!), T-shirta i 10 USD. Na lotnisku okazuje się że musimy zapłacić 10 USD Airport Tax (Staś jako infant jest z tego zwolniony). Nasz bagaż waży 64 kg więc pani doradza nam wyjęcie czegoś do podręcznego, jako że opłaty za każdy kilogram mają tutaj spore. Przylatujemy do BKK, jedziemy na poziom odlotów gdzie łapiemy taksówkę za 400 B (autostrada wliczona) na Soi Rambuttri. Szczęśliwie nasz pokój w Merry V GH jest wolny, więc się lokujemy i przepakowujemy bagaże. 3 sztuki zostawiamy w przechowalni, a do Kambodży jedziemy „na lekko” czyli: 2 plecaki, wózek, nosidełko, skrzynia Peli ze sprzętem, torba foto i plecak na rzeczy podręczne. Prawda, że niewiele? U agenta turystycznego w hotelu wykupujemy bilet na Ko Samet: minibus odbiera nas z hotelu o 8.00, o 13 jesteśmy na miejscu przy przeprawie promowej, o 14 na wyspie. Przejazd minibusem w obie strony 530 B, przejazd dużym autobusem 580 B, w cenę wliczony prom na wyspę (50 B w jedną stronę) Wychodzi niewiele drożej, niż gdybyśmy sami to wszystko organizowali. Chłopcy tradycyjnie nie płacą, jako że jadą nam na kolanach. Odwiedzamy jeszcze aptekę gdzie farmaceutka słysząc nasze pokastywania daje nam antybiotyki i syropy.

Dzień 33

Bangkok – Ko Samet 7 h

Pobudka o 7.00, znosimy bagaże i udajemy, że nic nie wiemy o tym, że za każdy dodatkowy bagaż podróżny ma płacić 50 B. Na szczęście kierowca też o tym nie wspomina. Przez pół godziny zbieramy pozostałych pasażerów, w końcu jedziemy. Po półtorej godziny postój przy knajpce z menu bez cen. Przy płaceniu okazuje się że kawa kosztuje 35 B, cola 30 B (!) czyli 3 x drożej niż normalnie. Po drodze trzeba przewinąć Stasia co czynimy zgrabnie na naszych kolanach. Mamy w tym już wielką wprawę! Docieramy na miejsce, przedstawiciel agenta wrywa nam jakieś kwitki z biletu i poleca za godzinę iść do portu. Jemy obiad, a po godzinie okazuje się, że na łódź nas bez tych kwitków nie wezmą. Krzyś idzie zabić agenta – w końcu go dopada, a ten zupełnie nie widzi problemu, w tym, że nie dał nam odcinków biletów. Na szczęście w końcu je dostajemy, natomiast ekipa Skandynawów

zostaje na brzegu bo agent w BKK im nie dał części biletu choć za niego zapłacili i przez 2 godziny w tym upale będą dochodzili swoich racji (nie dla pieniędzy a dla zasady). Coraz mniej lubimy Tajlandię... Na wyspie pakujemy się na pick-upa Taxi – przejazd do Ao Phai po 30 B od osoby. Ko Samet to kilkanaście zatok oddzielonych skałami, a w każdej zatoce kurorty i bungalowy. Wyspa do spacerowania raczej nieprzyjazna – jedna droga częściowo asfaltowa dalej gruntowa, którymi mkną motory i pick upy, a plaże krótkie – bo dalej skały.... Jedziemy do bramy parku narodowego gdzie płacimy każdy po 400 B za wjazd. Jako że dalej jadąc mijamy rozwalające się bungalowy, wysypiska śmieci i gnijące materace to mamy poczucie, że za te opłaty ktoś kupi sobie luksusowy jacht... Można tą opłatę ominąć, wystarczy być ubranym jak plażowicz, mieć małą podręczną torbę, najlepiej też przewieszony przez ramię ręcznik, no i nie wsiadać w pickupa, tylko się przejść kawałek, aż do minięcia bramy. Znamy ludzi, którym się to udało!

W Ao Phai jest jeden mały sklepik gdzie można kupić wodę i inne niezbędne przedmioty, poza tym tylko hotele i knajpki.

Kwaterujemy się w Sea Breeze. Mało kontaktowy recepcjonista najpierw twierdzi, że nie ma pokoi poniżej 1000 B, w końcu daje nam za 600 B pokój w trójdzielnym domku (z łazienką, bez klimatyzacji). Atutem jest możliwość łatwego podjechania (brak schodków, bo na wyspie wiele ośrodków jest na skarpach) wózkami do bungalowu. Są one tak stłoczone obok siebie że wygląda to na ośrodek FWP za czasów świetności komuny. Wreszcie idziemy nad morze. Plaże są małe – kilkadziesiąt metrów, potem skały i kolejna zatoka z plażą i wąskie. W naszej zatoce jest dość spokojnie: kilka knajpek i nie ma dyskoteki. Wynajem parasola i dwóch leżaków na cały dzień 60 B. Ceny w knajpkach przytomne: najtańsze dania w granicach 40-50 B ale oczywiście usiłują oszukiwać na rachunkach dopisując np. 100B i robiąc zdumione miny, że umiemy liczyć (!). Wieczorami przed domkiem tłum komarów więc kupujemy spirale (30B) i zaczynamy jeść Malarone. Chłopaki jedzą pokruszone na kawałki w kaszce mleczno-ryżowej Nestle, muszą tylko pilnować, by się nie rozpuściło. Nawet 1/8 dawki Stasia od razu zatruwa jedzenie goryczą. No bo niestety musimy dla nich krajać dorosłe tabletki, więc ich porcje nie są powlekane.

Dzień 34

Plażujemy cały dzień, chłopaki mimo kremów (a Staś siedzenia cały czas w cieniu) trochę się zgrilowali. Jako, że dziś 21 urodziny Oli postanawiamy to uczcić wynajmując motorówkę na rejs dookoła wyspy z nurkowaniem. Można taką atrakcję mieć w cenie od 350 do 600 B (cena zależy od wielkości łodzi i długości rejsu, w sumie i tak wszyscy widzą to samo...) Pierwsza niemiła niespodzianka – sternik siedzi na brzegu i mówi, że na coś jeszcze trzeba czekać. Ok., siedzimy i czekamy dodatkowe pół godziny. Druga niespodzianka: razem z nami do motorówki wchodzi dwie Tajki. Mówimy, że wynajęliśmy tą łódź na wyłączność, na co pani stwierdza, że wie o tym doskonale, bo jest właścicielką tej łodzi. Myśleliśmy, że chciały popłynąć na sąsiednią plażę, ale towarzyszyły nam do końca. Nurkowanie okazuje się porażką – woda jest zielonkawa, rafa zniszczona, a ryb mało. Na nurkowanie stajemy obok dwóch innych łodzi, pełnych Tajskich turystów na pikniku. Żegnaj samotności! Ostatnia porażka: zapłaciliśmy 2300 B za trzy godziny, a po dwóch jesteśmy z powrotem. Sternik i właścicielka nieszczerze się dziwią i proponują jeszcze godzinę rejsu. Jest 18.00, zachód słońca, pomysł dalszego pływania średni. No cóż, po całej tej eskapadzie pozostał nam niesmak i ugruntowane przekonanie, że Tajowie z branży turystycznej to zwykli złodzieje.

Po plaży przez cały dzień chodzi kilku sprzedawców: owoców (20-40 B), szaszłyków i kiełbasek (10B), pareo (100 B), ale nie są natarczywi.

Dzień 35

Rano na plażę, potem przez pół dnia pada. Monsun to nie jest dobra pora do podróży z dziećmi, na szczęście wszyscy mówią, że na to jeszcze za wcześnie. Wieczorem się wypogadza – jemy kolację w Sea Breeze Restauranst, na matach położonych dosłownie 5 m od wody. Jest bardzo romantycznie a na koniec chłopaki ukołysani falami zasypiają...

KAMBODŻA

1 USD = 4000 Riel

jedzenie: khmerskie typu ryż z warzywami lub amok (ryba lub kurczak z ryżem podawany w kokosie) 1,5-3,5, zachodnie (typu kanapki, pizza, kurczak i frytki) 3-6 USD, woda 0,5 l = 0,5 USD na ulicy, woda 1,5 l = 1 USD w knajpce ale 6x1,5 l = 2 USD kupiona na ulicy. Piwo Angkor duża butelka 1,5-3 USD, dwa obrane ananasy (pod świątyniami po targowaniu się) 1 USD,

Pamiątki: żurawie łapiące rybę i lampki oliwne 2-10 USD (zależy od wielkości), hamak 2 USD, bransoletki z bambusa 10 szt – 1 USD, tkaniny – 2-5 USD, portfeliki z naszytymi wypukłymi zwierzątkami – 0,5 USD, hamak pleciony – 2 USD, szal jedwabny 2 USD, bawełniany 1 USD

Ciekawostka: Kambodża to kraj, w którym praktycznie można nie wymieniać pieniędzy, bo wszystko i tak jest podawane w USD (ceny w sklepach, restauracjach). Riele mogą być przydatne jedynie do kupienia owoców na targu. \

Dzień 36

Ko Samet – Siem Reap 13 h

Czas ruszyć dalej! Pobudka o 7.00, o 8.00 jesteśmy w pick-upie. Możemy go wynająć za 200 B do portu, albo jeszcze chwilę poczekać. Opłaciło się, dochodzi trójka turystów, płacimy te 200 po połowie. Przed 9 jesteśmy w porcie, ktoś porywa mi bilety na łódź, na szczęście udaje się bez problemów zaokrętować. Na brzegu łapiemy się do zbiorczego pick-upa, taxi do Rayong Bus Station (30 min, 20 B). Na stacji łapiemy autobus o 10.00 do Chantanburi (70 B, 2 h). W Chantanburi jest autobus do Aranya Pradet (przejście gnaiczne z Poipet) o 13.00 – na miejscu o 16.40 za 170 B. Ponieważ mamy nieaktualne wiadomości, że przejście to zamykają o 17 wynajmujemy pick-upa za 1100 B (znegocjowany z 1500), którym mamy dojechać w dwie godziny. Niestety, w połowie drogi się psuje. Po kilkunastu minutach czekania, czy nasz kierowca coś wymyśli bierzemy sprawy w swoje ręce i łapiemy stopa. Zatrzymuje się pierwszy samochód – jak wszystkie tutaj z tyłem w wersji pick-up. Trafiamy na rodzinę zamożnych Tajów, którzy załatwiają nam transport do Aranyapradet, a że facet chce 1200 B dają mu te 200 B byśmy zapłacili tylko 1000. Dojeżdżamy o 16.30 (okazuje się że granica jest czynna do 20) i kolejne 45 min spędzamy na wyrobieniu dodatkowej wizy Tajskiej (1000 B) bo zdaniem urzędników gdybyśmy chcieli wracać przez Koh Kong to tam wiz nie wyrabiają. Jesteśmy odprowadzani przejściem dla turystów, tłumy kambodżańskich „mrówek” idą innym pasem.

Po drugiej stronie przechodzi się przez most i już człowiek ma wrażenie, że jest w mieście i może robić co chce ale to tylko 300m „ziemi niczyjej”. Wsiadamy do bezpłatnego shuttle busa (w praktyce metalowa przyczepka z siedzeniami) i wiozą do punktu odpraw. Kolejne kwity do wypełnienia, po przejściu odprawy bus wiezie nas na dworzec autobusowy, gdzie czekają taksówki (czyli mafia, można ją ominąć, nie dając się podwieźć busem). Wedle cennika do Siem Reap jest 15 USD od osoby (a 10 USD autobusem), jako że mamy jeszcze poznaną po drodze Rosjanę pakujemy się do środka i ruszamy. Droga wcale nie taka zła. Pylista i trochę wyboista, ale zupełnie nie pasuje do dramatycznych opisów „najgorszej drogi jaką w życiu jechaliśmy”. Fakt, kurz jest taki, że czasami widać tylko światła z naprzeciwka, ale jako że taxi ma klimę to nam to w ogóle nie przeszkadza. Okazało się, że drogę remontują i jak dobrze pójdzie to będzie piękny asfalt a przynajmniej gruntowa autostrada. O żadnych brodach i dziurach nie ma już mowy!!! O 21.30 jesteśmy już pod brama Mysteres d’Angkor (www.mysteres-angkor.com). Chłopcy, którzy się po drodze wyspali za wszystkie czasy (zresztą podróż zniesli bardzo dzielnie!) ani myślą iść spać, więc udaje się nam zasnąć dopiero grubo po północy...

Dni 37 - 47

Siem Reap – zwiedzanie Angkoru i okolic

Zakochaliśmy się w naszym hotelu! Jest bardzo kameralny i stylowy, zaś wewnętrzny dziedziniec otaczają drzewa i krzewy dzięki czemu jest tu oaza zieleni, izolująca pokoje i dająca poczucie intymności. Za trzyosobowy pokój płacimy 42 USD (cena normalna to 55 USD) – dostaliśmy zniżkę z racji długiego pobytu (zostajemy tu 11 nocy), ale nie żalujemy ani centa wydanego na ten nocleg. Pierwszy dzień odpoczywamy po przyjeździe pławiąc się w basenie i popijając piwo. Na kolejne dni zwiedzania Angkoru przyjęliśmy strategię: zwiedzanie od świtu/poranka do ok. jedenastej, powrót do hotelu i pławienie się w basenie, zwiedzanie od 15.30-16 do zachodu słońca (choć i tutaj o tej porze roku zachody są marne, więc czasem wracamy wcześniej). Chłopcom taki program bardzo odpowiada, nam zresztą też.

Ceny:

Bilet wstępu do świątyń Angkoru: 1 dzień – 20 USD, 3 dni – 40 USD, 7 dni – 60 USD. Dzieci do 12 lat bezpłatnie. Bilet poza kompleksem świątyń Angkoru (ok. 7 km od Siem Reap) obejmuje także wejście

do świątyń z grupy Roulus (13 km od Siem Reap, jak ma się mało czasu można odpuścić) oraz do Bantey Sarai (koniecznie).

Ceny wynajmu tuk-tuka (mieszczą się w nim spokojnie 4 osoby, złożony wózek można przypiąć z tyłu do ramy) zależą od umiejętności negocjacyjnych i potrzeb finansowych kierowcy. Spotkaliśmy Niemców, którzy ze swoim kierowcą umówili się na 26 USD za 1 dzień zwiedzania świątyń Angkoru i drugi pół dnia wyjazd do Bantey Sarai a pół dalej zwiedzanie Angkoru. Za 10 USD można znaleźć kogoś na cały dzień, choć jeśli w połowie dnia chce się wrócić do hotelu a potem jechać np. na tzw. dużą pętlę (czyli świątynie dalej położone) to kierowca może (ale to nie jest regułą) chcieć dopłaty 3-5 USD. Przejazd z hotelu Mysteres d'Angkor do centrum w okolice Old Market – 2 USD w jedną stronę.

Świątynie Angkoru – krótka instrukcja zwiedzania:

W hotelach bezpłatnie rozdawany jest Siem Reap – Visitors Guide z mapami i informacjami o mieście i świątyniach (są przy nich gwiazdki co pomaga określić co warto zobaczyć), co bardzo pomaga w ułożeniu sobie programu zwiedzania. Najważniejsze świątynie są położone na tzw. Małej Pętli (do zwiedzenia w 1 dzień) i Dużej Pętli (drugi dzień). Jeśli chce się oglądać świątynie bez tłumów (rocznie Angkor odwiedza 1,5 mln ludzi i liczba ta się zwiększa) warto ułożyć sobie program „pod prąd” czyli skoro wszyscy robią po kolei: Angkor – South Gate – Bayon – Terrace of Elephants – Terrace of Leper King – Ta Keo – Ta Prohm (szlak tzw. Małej Pętli), wystarczy zacząć od Ta Prohm by z tłumami się rozminąć. Przykładowo gdy do Ta Prohm trafiliśmy ok. 11.30 po prostu nie dało się w środku przejść, gdy zaś byliśmy tu o 9 rano zdarzały się chwile gdy byliśmy sami!

Sztandarową atrakcją są wschody i zachody słońca (konieczne zabranie repelentów – komary!). Na wschód Angkor jest ok., jeśli chce się mieć choć przez chwilę świątynię tylko dla siebie warto podjechać do East Gate (cały tłum jedzie do głównego wejścia po przeciwnej stronie) i stamtąd dojść do Angkor Wat. Jest duża szansa że poza wami będzie tędy szło może 5 osób (a nie 1500 jak z drugiej strony). Dodatkowy atut: do samej świątyni i sadzawki przez którą wszyscy robią zdjęcia Angkoru z odbiciem w wodzie idzie się po płaskim więc można tu łatwo dojechać wózkiem. Od razu po wschodzie słońca warto pojechać do Bayon – ok. 7.00 rano są tu tylko mniszki i nieliczni turyści, po 9.00 rano zaczynają się dzikie tłumy. Na zachody słońca reklamowane jest wzgórze Bakheng (ale trudno powiedzieć dlaczego, widok marny a na szczycie kłębi się ponad 1000 osób) oraz Pre Rup (świątynia na Dużej Pętli) i to miejsce jest dużo bardziej sympatyczne, fotograficznie daje więcej możliwości, a ludzi tu raptem ze 100 osób.

Zwiedzając Angkor z maluchami warto mieć wózek – do części świątyń można podjechać, choć zwykle potem zaczynają się schody (dosłownie). Jeśli chcecie by dziecko wam wszędzie towarzyszyło trzeba zabrać nosidełko. My przyjęliśmy zasadę, że jedno z nas zwiedza a drugie zostaje z dziećmi – inaczej przez te 7 dni chłopaki by się wściekli i na widok kolejnego zabytku dostawali hysterii.

W ramach oszczędności warto zabrać ze sobą zapas wody (koło świątyń 1,5 l = 1 USD). Jako że śniadanie w hotelu kosztuje 3 USD kupowaliśmy w markecie dżem (ok. 3 USD) po drodze zaopatrywaliśmy się bagietki (1000 R za 1 szt) i robiliśmy sobie śniadania już w terenie. A chłopcy w zależności od nastroju jedli kanapki albo kaszki mleczno-ryżowe Nestle (albo jedno i drugie!).

Atrakcje w Siem Reap:

Angkor w miniaturze (ok. 300 m od hotelu Mysteres d'Angkor) – nieco kiczowate ale urocze miniatury najważniejszych świątyń zrobione przez miejscowego artystę w cemencie. Wstęp (1,5 USD) o dowolnej porze jako że on tam mieszka, dal dzieci z pewnością atrakcja.

Przedstawienia teatru cieni – tylko we wtorki w La Noria Hotel (też niedaleko od Mysteres, hotel podobnej klasy, tyle że przy głównej ulicy).

Ferma Krokodyli (wstęp 2 USD) – na betonowych dziedzińcach leżą krokodyle, a w sadzawkach pływają. Nieciekawe.

Muzeum Min lub Muzeum Wojny – wstęp 2 USD. Jako że to kawał historii tego kraju warto zajrzeć, chłopcom z pewnością w Muzeum Wojny spodobać się karabiny i wozy bojowe.

Kościół katolicki – nieopodal Mysteres. Msza w języku angielskim w soboty o 18.30, msza khmerska w niedziele o 7.30 (warto!). Ksiądz (hindus) mówi po angielsku, jeśli w niedzielę planujecie Tonle Sap to warto spytać o której będzie msza na jeziorze.

Atrakcje w okolicy

Lot balonem nad Angkorem – 10 min, 15 USD. Robi to wrażenie, choć lot jest ok. 1 km od Angkoru, (na spektakularne zdjęcia nie ma szans) i tak naprawdę polega na wzniesieniu się balonu na 200 m na linie. Wrażenie mimo wszystko spore.

Lot helikopterem nad Angkorem – 75 USD za 8 min (ale leci się z lotniska więc chyba obejmuje to tylko rzut oka na Angkor). Loty 15 i 20 min odpowiednio drożej (coś koło 200 USD)

Banteay Srei - trzeba zobaczyć koniecznie (32 km od SR, samochodem 45 min, 40 USD, tuk-tuk 1,5 h i 18 USD) Wejście do świątyni oświetlone rano, co oznacza że od ok. 9 są tu dzikie tłumy, dlatego warto przyjechać tu wcześniej albo po południu – wtedy zwiedza się (prawie) w samotności.

Kbal Spean – Rzeka Tysiąca Lingamów (18 km od Banteay Srei, ok. pół godziny jazdy) kręcono tu „Tomb Raider” z Angeliną Jolie. Z parkingu pół godziny ostrego marszu pod górę – atrakcja dla wytrwałych, w porze suchej wody prawie nie ma, a lingamy w większości zatarte przez wodę i czas. Dla dzieci niezbędne nosidełko.

Beng Mealea – półdniowa wycieczka (ok. 80 km od SR), wstęp 5 USD, dojazd tuk-tuk 2 h, 30 USD, samochód 1,15 h, 60 USD, do połowy świątyni można zwiedzać z wózkami, potem tylko nosidełko. Na nas zrobiła ogromne wrażenie bo cała jest porośnięta drzewami, opleciona lianami i wygląda tak, jak musiał wyglądać cały kompleks Angkoru, nim go zaczęto odbudowywać.

Jezioro Tonle Sap – koniecznie. Dojazd z SR tuk-tuk 10 USD, taksówka 20 USD (wynajem łodzi 15 USD od osoby, ale chodzą pogłoski, że niektórym udało się płynąć za 10 USD, a niektórych naciągnięto na 20 USD). Najlepiej trafić tu po południu, gdy rybacy wracają z połowów lub w niedzielę, gdy wzdłuż drogi do jeziora toczy się na hamakach leniwe życie towarzyskie. Rejs łodzią trwa ok. 1,5 h, trzeba nastawić się na dzieci podrywające w miskach po datki (jako że bieda tu widoczna) i wyraźnie powiedzieć sternikowi, że nie chce się zwiedzać sklepów z pamiątkami. Warto za to pokręcić się po pływających wioskach i zwiedzić pływający kościół katolicki oraz pływające szkoły.

Dzień 48

Siem Reap – Phnom Penh, 6 h

Wszystko co dobre kiedyś się kończy... Poprzedniego dnia kupiliśmy bilet na przejazd do Phnom Penh (5 USD, firma Soray). Lepiej kupić bilet firmy Capitol, bo wtedy autobus od razu podjeżdża pod Capitol GH, gdzie w okolicy jest kilka innych tanich hotelików i skąd stosunkowo niedaleko do Pałacu Królewskiego. Pobudka o 6.00 rano, pod hotelem czeka zamówiona dzień wcześniej taksówka (5 USD, do tuk-tuka z bagażami się nie zmieścimy niestety). Autobus ma odjechać o 7.30, na dworcu kłębią się dziesiątki busów, w tym kilka naszej firmy, w końcu nas kwaterują i z niewielkim opóźnieniem jedziemy. Po czterech godzinach postój na toaletę i jedzenie. Są m.in. panie z pieczonymi pająkami, ale się nie decydujemy na kulinarny eksperyment. Na dworcu opada na tłum kierowców, tuk-tuk do Capitol GH ma kosztować 3 USD, ale jeden kierowca przebija innych proponując dużego tuk-tuka (z bagażnikiem z tyłu) za jedyne 2 USD. Jedziemy! W Capitolu ceny na każdą kieszeń: jedynek 3 USD dwójka 5 USD (fan, wspólna łazienka). Dwójka z łazienką i AC – 10 USD, trójka – 12 USD i na to się decydujemy. Z „naszym” kierowcą umawiamy się na objazd miasta. 8 USD za przejazd: Capitol GH - Pałac Królewski (wstęp 3 USD) – Wat Phnom (tutejsza Jasna Góra) – jez. Boeung Kak (zagłębienie tanich guesthousów, jedyny minus to że stąd do miasta daleko, ale może to być też zaleta) i powrót do Capitolu. Pola Śmierci oraz Tuol Sleng Museum (dokumentujące zbrodnie Czerwonych Khmerów) odpuszczamy z braku czasu.

Jako że restauracja w naszym hotelu to bardziej dworzec autobusowy (zaraz po przyjeździe kupujemy tu bilet do Sihanoukville), idziemy na kolację tuż obok do Dragon Restaurant (dania 1-3 USD).

Dzień 49

Phnom Penh – Sihanoukville (SV), 5 h

O 7.00 rano łapiemy tuk-tuka i jedziemy nad Mekong porobić zdjęcia kolonialnej architektury. Potem szybkie śniadanie i o 8.45 ruszamy do SV. O 13.30 jesteśmy na miejscu. Na dworcu nie ma tuk-tuków

(tylko jeden, przysłany przez hotel po turystów którzy mają rezerwację), są za to motory (przejazd 1 USD, mogą zabrać 2 osoby + plecaki) i taksówki (przejazd na Occheuteal Beach 6 USD). Uznajemy, że chłopaki i my na motory się nie bardzo nadajemy i bierzemy taxi. Wybraliśmy jako bazę Occheuteal Beach bo ponoć najładniejsza i z hoteli tu do plaży najbliższej. W Orchidee GH (200 m do plaży) proponują nam pokój 3 os za 25 USD (między korytarzem a recepcją, czuliśmy się ciągle jak na dworcu). Jedziemy do Markara GH, pokoje z wentylatorem i łazienką: jedynek – 6 USD, dwójka 8 USD (i tą bierzemy), dwójka z klimatyzacją 12 USD – ale chwilowo zajęte. Do plaży 70 m, czysto, wewnątrz dziedziniec z bugenwillami – bierzemy.

Inną opcją jest położony ok. 200 m. dalej Susaday GH (do plaży też tylko 70 m) – pokój z dużym łóżkiem i łazienką (dwuosobowy) 5 USD z wentylatorem, 7 USD z AC. Niestety łóżko na naszą czwórkę za małe, ale gdyby chłopaki mogli spać już osobno na pewno byśmy się zdecydowali.

Po przyjeździe do SV jadąc na plażę warto poprosić kierowcę o zatrzymanie się przy supermarkecie. Można tam nabyć tanio wodę, soki, alkohol i od razu na plaży zrobić fiestę. My nabyliśmy za całe 7 USD Martini 0,75l i na plaży w knajpcie gdzie jedliśmy obiad poprosiliśmy o szklanki z lodem (tutaj picie przyniesionego ze sobą alkoholu jest dozwolone, byleby coś jeszcze zamówić). Wyszliśmy z założenia (niekoniecznie słusznego), że nawet jeśli w lodzie jest życie, to alkohol je zabije.

Dzień 50

Od rana do wieczora siedzimy na plaży. Przed knajpkami są leżaki i parasole, wystarczy cokolwiek zamówić by móc z nich bezpłatnie korzystać. Minusem plaż w SV jest trwająca od rana do wieczora pielgrzymka osób mających coś do zaoferowania i w związku z tym co chwila pytających (nie nachalnie, ale przy 50 osobie traci się cierpliwość) czy nie chcesz: langust (10 szt za 4 USD), ananasów (duża 1 szt – 1 USD), pocztówek (10 szt akwareli – 5 USD), masażu (5 USD), depilacji (5 USD), a także pamiątek, muszelek, pieczonych kurczaków, pareo etc. Do tego co jakiś czas dzieci z workami zbierające puszkę i butelki i ofiary min lądowych. Następnego dnia już będą nas znali i będą przechodzili uśmiechając się wiedząc, że niczego od nich nie potrzebujemy. Ale pierwszego dnia muszą to sprawdzić. Drugim minusem są śmieci (jakieś walające się kartoniki, słomki, plastikowe torebki). Trzecim (ale to akurat zdaje się taki moment w całej Zatoce Tajskiej) parzące meduzy (dwie na 200m2 wody więc nie jest to duży problem). Chłopakom kopiemy grajdołek z wodą więc są bezpieczni. Natomiast niewątpliwym plusem jest możliwość długiego spaceru plażą – co najmniej 2 km. Po południu Michaś dostaje temperatury – najprawdopodobniej to lekki udar słoneczny, bo dziecko nie dało się schować do cienia... Tradycyjnie z gorączką walczymy eferalganem i nurofenem. Wieczorem dzieci nijak nie chcą usnąć w gorącym pokoju, więc bierzemy je na do knajpki na plaży. Są przeschęczeni mogąc jeszcze poszaleć. Po pół godzinie śpią jak aniołki co świętujemy piwem Angkor i Baileysem.

Kambodża – gdzie dalej?

Praktycznie wszędzie agenci podróży organizują transport. Z PP można pojechać do Wietnamu lub Laosu, z SV do podstawowych turystycznych miejsc w Tajl. Minibusy do granicy 14 USD, BKK 29 USD, Pataya 30 USD, Ko Samet 31 USD, Ko Chang 25 USD. W praktyce dojeżdża się do granicy a po drugiej stronie rozlokowują turystów w minibusach tajskich po czym w zależności od miejsca przeznaczenia jest jeszcze jedna przesiadka. Przejazd łodzią z SV do Koh Kong 20 USD, wyjazd 13.00, ok. 4 godz.

Dzień 51

TAJLANDIA

SV – granica 5,5 h (w tym 4 przeprawy promowe)

Granica – BKK 7,5 h (w tym godzinny postój na posiłek i 15 min przerwy)

Michaś rozpalony obudził się o 3 rano i do piątej nie mógł zasnąć. W końcu leki podziałały i padł, a o szóstej pobudka. Zamówiliśmy taxi by się łatwo zabrać z bagażami i jedziemy na dworzec autobusowy. Tam już stoi kilka minibusów firmy Virak z kartkami: Border, Pataya, Bangkok. Jakoś nie wpadło nam w oko, że mogą być bezpośrednie (z przesiadką na granicy) połączenia z BKK, więc teraz dopłacamy i zmieniamy nasz bilet z „border” na „bkk”. Zajmujemy pierwszy rząd foteli (więcej miejsca na nogi), wyruszamy 7.20 i już po godzinie czeka nas pierwsza przeprawa promem. Przed nami jeszcze trzy takie, ale jako że budują mosty i kładą nowy asfalt już niedługo przejazd tą drogą będzie szybszy. Promowania są okazją do wybiegania dzieci oraz kupienia picia i jedzenia.

W końcu o 13.00 dojeżdżamy, opuszczamy minibusa i mijając kolejkę (dzieci na rękę!) idziemy się odprawiać. Na granicy są wielkie bezpłatne wózki, którymi można przewieźć bagaż do minibusa na drugiej stronie. Ważne: granica jest czynna od 7.00 rano do 8.00 wieczór. Można też wymienić tu Riele na Baht. Po półgodzinnym zamieszaniu (było kilka autobusów i kierowcy nie mogli się zdecydować którym mamy jechać) wsiadamy i o 14.00 ruszamy w drogę. Michaś Tajlandię powitał krótką histerią (brak obiadu) a Staś prezentem w pieluszcze. Po półtorej godziny jesteśmy w Trat gdzie zatrzymujemy się w knajpcie na obiad. O 16.00 jesteśmy znowu w drodze – do BKK docieramy około 21.30. Przez ten czas Michaś miał ze 4 kryzysy z czego najdłuższy trwał 20 min. Gorzej tym razem było ze Stasiem, bo choć zwykle dawał się spacyfikować kawałkiem chleba, to nie mógł zasnąć i ponad godzinę szlochał. No i oczywiście klimatyzację od razu włączyli na max, więc dyskretnie ją przykręciliśmy, a chłopcom założyliśmy skarpetki.

Gdy docieramy do Merry V GH bierzemy dwójkę z klimatyzacją (nasza trójka zajęta) za którą liczą nam 600 B i po rozłożeniu materaców mamy wystarczająco miejsca do spania dla całej piątki.

Dzień 52

Dzieci padły po północy, więc dziś ulgowo. Cały dzień się snujemy po okolicy, trochę się targujemy, podjadamy, popijamy i rozkoszujemy się tym, że nic nie musimy. Bierzemy bagaże z przechowalni i zastanawiamy się, jak my się z tym wszystkim zabierzemy do samolotu...

Dzień 53

Spakowaliśmy się i o dziwo, wygląda na to, że mamy mniej bagażu niż myśleliśmy. Z radości dokupujemy kolejne pamiątki po czym o 11.00 rano znosimy to wszystko do dziennej przechowalni i jedziemy do Wat Arun. Popołudnie spędzamy na dalszym nicnierobieniu. W końcu za chwilę czeka nas ciężka praca po powrocie do domu. O 20.00 bierzemy taksówkę na lotnisko, docieramy 21.30. Umówiliśmy się na 500 B bo to duża taxi, ale facet nie korzysta z autostrady, więc targujemy już na lotnisku na 450 B. Okazuje się, że odprawa już się zaczęła (2,5 h przed odlotem!), dostajemy 2 miejsca koło siebie, trzecie już zajęte, ale wierzymy że uda się zamienić (udało się). Pożegnalna puszka piwa (wszystko tu upiornie drogie – ok. 100 B za mały napój) i siadamy do samolotu. Chłopaki są tak zganiane, że przesypiają start i większość lotu. Przed lądowaniem jemy śniadanie, dla Michasia bierzemy zje gdy się obudzi, najbardziej przypada mu do gustu masło i bułka.

Dzień 54

W Wiedniu lądujemy o świcie, wylot do Warszawy o 8.10. Przed odlotem staramy się by Michaś się wybiegał, choć w samolocie będzie miejsca bardzo dużo – wracamy w niedzielę wielkanocną, więc wraz z nami w samolocie nie więcej jak 10 osób...

Warszawa wita nas zimnem (wyjmujemy z plecaczka podręcznego dodatkowe ubranka dla dzieci) i pustką nowego terminalu. Nasza wyprawa się skończyła...

Podsumowanie:

Całość dwumiesięcznej wyprawy wyniosła na nas wszystkich 33 000 zł (wliczając przeloty, ubezpieczenie, wizy oraz wszystkie koszty na miejscu). Chłopcy poza przelotami praktycznie nigdzie nie płacili. Można było częściowo te koszty obniżyć (tańsze hotele, krótszy pobyt w Birmie, mniej taksówek, więcej wody zamiast piwa), ale przy dzieciach bywa to czasem trudne (zwłaszcza rezygnacja z piwa!). Gdybyśmy mieli raz jeszcze pojechać nie wahałobyśmy się ani chwili, a jedyne co byśmy może zmienili to trochę krótszy pobyt w Birmie ze względu na pył w powietrzu lub przesunięcie wyjazdu w terminie. Z drugiej jednak strony jest to tak fascynujący kraj, że szkoda by nam było być tam krócej, a po zmęczeniu kurzem i kaszlu dzieci już tydzień później nie było śladu.

Były chwile gdy było nam wspaniale, były i takie, że dzieci dawały w kość, a my mieliśmy dość siebie nawzajem, ale z całą pewnością była to dla nas wyprawa życia, bo nasi chłopcy już nigdy nie będą taki samymi maluchami. Staś wyrósł i zmężniał, Michaś nauczył się wielu nowych słówek. Nawet jeśli nie będą nic z tego pamiętać, to czasu jaki spędziliśmy razem i wspólnych przeżyć nikt nam nie odbierze. I o to właśnie w podróżowaniu z dziećmi chodzi!

Więcej informacji i mnóstwo zdjęć z wyprawy w serwisie: www.malypodroznik.pl > dział ŚWIAT